

Jerzy Waław Lipka

część I z III

Sygnatura notacji: **N0009**
Data urodzenia: **28.03.1914 r.**
Data nagrania: **19.03.2007 r.**
Miejsce nagrania: **dom świadka, Warszawa, Polska**
Prowadzący rozmowę: **Anna Teresa Pietraszek, Michał Kurkiewicz**
Czas nagrania: **część I: 44 min, część II: 55 min, część III: 45 min**
Format nagrania: **video**
Język nagrania: **polski**



TRANSKRYPCJA



INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

Jerzy Waław Lipka: Jerzy Waław Lipka, jak panią to interesuje. Urodziłem się 28 marca 1914 roku w tak zwanej Wólce Mławskiej. To dzisiaj Mława oczywiście, bo to było przedmieście takie Mławy, ale na metryce mam, że Wólka Mławska. To tyle, jeżeli chodzi o urodziny.

Anna Pietraszek: I co było dalej?

Jerzy Waław Lipka: Dalej? Ze mną? Tragiczne losy, matka umarła jak miałem cztery lata, przeżyłem wojnę, bo urodziłem się w marcu, a wojna była w sierpniu dopiero, więc przeżyłem tę wojnę, przeżyłem wojnę 1920 roku, gdzie ojciec, mając 40 lat, wsiadł na konia, zostawił dziecko babci i pojechał tam na Wołyń. Nie, na Ukrainę w ogóle, tam gdzieś wojowali.

Anna Pietraszek: I co dalej?

Jerzy Waław Lipka: I znalazłem się w tym... Gimnazjum rozpocząłem w Mławie, tak jak pani mówiłem, jedynym w Polsce imienia Stanisława Wyspiańskiego. To taka była duma gimnazjum niby. I w 1928 roku znalazłem się w Wilnie, gdzie chodziłem i skończyłem gimnazjum Zygmunta Augusta. Znów, przepraszam, ale na Wileńszczyźnie takie pierwsze miejsce. Nasi profesorowie szli na matury do innych gimnazjów, a u nas był nasz dyrektor. Potem wstąpiłem na uniwersytet, byłem na tym uniwersytecie, byłem, tak jak to tam w wielu przypadkach bywało, członkiem korporacji „Batoria”, nawiasem mówiąc, endeckiej. Z takich, które utkwiły mi w pamięci, to jest przede wszystkim... Wszyscyśmy

się do Matki Boskiej do tej Ostrej Bramy, do tych Trzech Krzyży, do tej wspaniałej rzeki Wilii. Jeszcze pamiętam ten pogrzeb marszałka Piłsudskiego, w którym miałem zaszczyt brać udział jako członek delegacji ze sztandarem.

Anna Pietraszek: Co było takiego szczególnego w tych studiach w Wilnie?

Jerzy Waław Lipka: Potem wojsko.

Anna Pietraszek: Ale same studia, wspominał je pan z takim uśmiechem ciepłym i radosnym. Co na tych studiach takiego specjalnego było? Dlaczego akurat w Wilnie było inaczej?

Jerzy Waław Lipka: Proszę pani, to były czasy, bo były korporacje studenckie, to życie wesole, w ogóle Wilno to było polskie miasto, wspaniałe polskie miasto, tam Litwinów była znikoma ilość. Nawet mieli swoją korporację, ale to było nieliczne towarzystwo. Gdzie tam... Żydów było chyba 68 tysięcy na 200 tam... 218 tysięcy chyba miało Wilno wtedy, ale miasto wspaniałe, naprawdę w mieście się można zakochać i rozstawać się... Ja nie byłem przekonany, czy ja nie wrócę do Wilna w ogóle. Ale znalazłem się po... Do wojska.

Anna Pietraszek: Ale jeszcze zapytam o to jedno w Wilnie, co jest szczególne i co promieniuje na całą Polskę, to ten wizerunek Ostrobramskiej Matki Bożej. Był pan młodym chłopakiem w czasie studiów. A jakie ona miała hipnotyczne, wręcz jakieś magiczne znaczenie?

Jerzy Waław Lipka: Ja byłem wychowany... Dzisiaj ja jestem katolik, ale innego rodzaju. Ja dzisiejszych warunków nie znoszę, dla mnie komunizm to był sakrament, a teraz to u nas po śniadaniu idą kobiety, kłócą się między sobą i idą do kaplicy na mszę świętą i komunie świętą przyjmują. Wychodzą z tej kaplicy, kłócą się dalej. Ja takiego nie uznaję, ja co jestem od czasu do czasu w kościele, a w niedzielę słucham z łagiewnik o 7:00 rano mszy świętej tak, jakbym był w kościele. A Matka Boska dla Wilnian, wie pani, to jest... No, nie... Trudno tak opowiedzieć, wie pani.

Anna Pietraszek: A chodził pan tam do niej jako student?

Jerzy Waław Lipka: Słucham?

Anna Pietraszek: Chodził pan do Ostrej Bramy jako...

Jerzy Waław Lipka: Wszyscyśmy chodzili, na spacer się szło przez miasto do Ostrej Bramy i z powrotem, z dziewczynami, nie z dziewczynami, przed wódką, po wódce.

Anna Pietraszek: I skończył pan studia...

Jerzy Waław Lipka: To była patronka nasza.

Anna Pietraszek: I skończył pan studia...

Jerzy Waław Lipka: Słucham?

Anna Pietraszek: I skończył pan studia...

Jerzy Waław Lipka: Czy co?

Anna Pietraszek: Skończył pan studia i do...

Jerzy Waław Lipka: Nie, nie, jeden rok w Wilnie, potem byłem w Warszawie, nawet zacząłem pracować. Po wyjściu z wojska nie mogłem przez szereg miesięcy dostać żadnej pracy absolutnie. Już byłem gotów iść na takie nędzne 75 złotych na okres trzyletni, przed wojną to były pieniądze, za które się można było utrzymać, ale to już była... Na pocztę, ale jakoś... No, to może wyglądać, wie pani, tak... Byłem robotnikiem w Państwowych Zakładach Inżynierii, ale to była kombinacja taka, że żeby się dostać do działu technicznego w fabryce, nie mieli możliwości etatów i tak dalej, to trzeba było przez robotnika, magazynowego dojść do tego, że do biura magazynowego. Ja zacząłem w sierpniu, a 1 stycznia następnego roku już byłem urzędnikiem w dziale technicznym za te 200 kilkadziesiąt złotych. Tak że to były czasy przedwojenne też różne.

Anna Pietraszek: To wróćmy jeszcze do Wilna.

Jerzy Waław Lipka: No.

Anna Pietraszek: Jest pan już na pierwszym roku studiów i co dalej, co się dzieje dalej?

Jerzy Waław Lipka: Ze studiami?

Anna Pietraszek: Ze studiami i wojskiem...

Jerzy Waław Lipka: Zapisuję się w Warszawie na to prawo, niby je odstawiam, ale dalej właśnie nie bardzo mam za co, w związku z tym rozpoczynam pracę, ale miałem zamiar dalej kończyć. Natomiast po wojnie już nie wróciłem, aczkolwiek gdybym pokazał to swoje świadectwo maturalne i te dwa lata już tam oSTEMPlowane przez uniwersytety, że studiowałem, to po roku mogłem to prawo ukończyć, bo to takie były ulgowe warunki, trochę tam zmniejszali tę ilość tych egzaminów, poza tym patrzyli po 30 chłopak, ale powiedziałem: „Nie, prawnikiem w Polsce Ludowej nie”. Zacząłem od zera szkołę inżynierską Wawelberga, którą skończyłem właściwie dwudziestego któregoś, mam indeks, prawda, zrobiłem pracę dyplomową i egzamin dyplomowy zdałem.

Anna Pietraszek: Bo ja się trochę zgubiłam. W którym roku zaczął pan studia w Wilnie?

Jerzy Waław Lipka: W Wilnie?

Anna Pietraszek: Tak.

Jerzy Waław Lipka: W 1934 roku.

Anna Pietraszek: 1934 rok.

Jerzy Waław Lipka: Czyli 1934-1935, wojsko 1935-1936.

Anna Pietraszek: Wojsko 1935-1936 rok.

Michał Kurkiewicz: A gdzie pan był w wojsku?

Jerzy Waław Lipka: W Grodnie.

Anna Pietraszek: To jak to było? Z tych studiów, które pan rozpoczął, był pan, jak to, rok na studiach i do wojska?

Jerzy Waław Lipka: Tak. Pora przyszła.

Anna Pietraszek: To proszę to opowiedzieć po kolei, komuś, kto nie zna tej historii.

Jerzy Waław Lipka: Nawet, wie pani, nawet mnie na komisji wojskowej kapitan tam gada: „Panie, to „B” mu dajmy”, „B” to znaczy odroczenie na rok, ale ja się pytam: „Dlaczego?”. „No, niedowaga”, bo 176 wzrostu, a 68 kilo. Ja mówię: „Dobrze, ale to dlatego, że ja za piłką biegam całe dni, tego, to jak to, panie...”. „No, puścić go”. I wojsko trzeba było. Chłopak przed wojną, który nie odbył wojska, to albo chory, albo niedołęga, albo w ogóle markierant. Nie wyobrażałem sobie, żeby można było wojska nie... To dopiero za parę lat, to już trzeba, jak przyszła pora, skończyłem to wojsko, ten rok.

Anna Pietraszek: I gdzie to wojsko było? Gdzie ta służba była?

Jerzy Waław Lipka: Rok. Rok.

Anna Pietraszek: A gdzie ta służba była?

Jerzy Waław Lipka: Rok.

Anna Pietraszek: A gdzie to było?

Jerzy Waław Lipka: Słucham?

Anna Pietraszek: Ta służba wojskowa, to gdzie to było?

Jerzy Waław Lipka: W Grodnie. W Grodnie.

Anna Pietraszek: Niech pan opowie.

Jerzy Waław Lipka: O wojsku?

Anna Pietraszek: Tak.

Jerzy Waław Lipka: No, co, w kość dostawaliśmy tak jak złoto, przede wszystkim tak. Podchorążówka miała własną stołówkę, myśmy z menażkami nie chodzili, jak normalnie się w pułku chodzi. Była stołówka, kelnerki podawały do stołu, myśmy mieli tylko przyjść, zjeść i w pole. Ja myśmy już wychodzili w pole, to dopiero wojsko wychodziło na gimnastykę. Oni dopiero na gimnastykę, bo myśmy wstawali o 6:00, a oni o 8:00 na gimnastykę i później sobie tam dopiero na swoje ćwiczenia, a myśmy musieli w ciągu od września do lutego podszkolić się tak, żeby móc dowodzić już tymi, którzy w marcu, myśmy we wrześniu przyszli, a żołnierze w marcu, to myśmy już musieli dowodzić drużynami tymi, prawda, ten... Tak że szkołę myśmy dostawali wspaniałą, ale szkoła była świetna. Gonili nas, to gonili, no ale jakoś... Ja miałem...

Michał Kurkiewicz: A co to była za podchorążówka?

Jerzy Waław Lipka: Dywizyjny kurs podchorążych rezerwy piechoty. Każda dywizja miała swój kurs podchorążych rezerwy i dopiero później ci podchorążowie szli do trzech tych pułków, w naszym przypadku w Grodnie był 76., przy którym była właśnie podchorążówka, 81. Strzelców Grodzieńskich imienia Stefana Batorego, w którym ja dostałem przydział i w Suwałkach był 41. Pułk Piechoty, Trzy pułki piechoty. Tę podchorążówkę, no ja ją jako tako skończyłem, bo ją można było skończyć z frajtem, z kapralem albo z plutonowym. Plutonowych było stosunkowo nie za dużo. Ja jakoś w tej grupie się... Miałem bardzo udane ćwiczenia wojskowe, O, tak, kwestia przypadku. Byłem w karabinach maszynowych i byłem przydzielony do 1. Plutonu w kompanii. I dowódca kompanii poszedł na rozjemcę, a dowódca 1. Plutonu poszedł na kompanię i odchodząc pyta się: „Panie, mamy jakiegoś rezerwistę ściągać czy pan sobie da radę?”. Ja mówię: „No, czegoś nas tam nauczyli w tej podchorążówce”. Pluton... I miałem bardzo udane te ćwiczenia z tym plutonem, bardzośmy się tam dobrze sprawowali i byłem jedyny w pułku, tak potem się śmiali ze mnie, jedyny, który prosił, odchodząc, że jeżeli macie mnie wziąć na ćwiczenia oficerskie, to na turnus manewrowy, żebym był w polu, a nie z tymi żołnierzami, złożenie broni jakieś tam bzdrone tego, takie zawracanie głowy. To był urlop przez sześć tygodni, nudny trochę, ale tak to ludzie traktowali. I wszyscy się migają od tych manewrów, bo to jednak było... Trochę dostawało życie w kość wtedy. I rzeczywiście mnie wzięli na te manewry pierwsze i proszę zwrócić uwagę, że ja skończyłem podchorążówkę we wrześniu, a w następnym roku już dostałem podporucznika. Po pierwszych

ćwiczeniach, co było dosyć rzadkie zjawisko, w każdym bądź razie od 1 stycznia 1938 roku już byłem podporucznikiem i potem w pułku... Aha, w 1939 roku zostałem wezwany na pierwsze oficerskie, w sierpniu, ale w sierpniu już nie powojowałem dla zabawy, że tak powiem, bo wojna wybuchła.

Anna Pietraszek: A gdzie pan wtedy był...

Jerzy Waław Lipka: Bardzośmy trudną mieli przeprawę, jeżeli chodzi o pułk, bo zostaliśmy w ostatniej chwili mobilizowani. Zdążyliśmy dojechać pod te Skierniewice, a byliśmy tam, to tak się nazywa, Armia „Prusy” Dęba-Biernackiego. Ona miała być taką rezerwą, ewentualnie dla północnego frontu, a dlatego ta nazwa pewnie, ale myśmy byli tak, tylko z tym, z czym myśmy wyjechali z koszar. Żadnego innego zaopatrzenia, amunicji, nic. Znaczą trochę tej amunicji mieliśmy. To, co wzięliśmy ze sobą, ale dalszego zaopatrzenia żadnego, tak że bardzo trudną sytuację miał dowódca pułku, dowódca dywizji zresztą też, i jakoś tam zaczęliśmy się przeprawiać. Po paru takich, trudno to nazwać bitwami, potyczkach, między innymi pod Sulejowem, który 3 września już, jak w nocy przechodziliśmy przez Sulejów, to już był spalony, Niemcy wtargnęli z zachodu bardzo głęboko, zwłaszcza te zagony pancerne. Przedostaliśmy się przez Wisłę, zaczęliśmy się tam grupować w lubelskim. Warszawa padła i ta cała... ewentualność obrony i dalszej walki Rosjanie uniemożliwili. I tak zresztą jak generał Kleeberg, do ostatniego naboju, 6 października jednak szedł na pomoc Warszawie, ale Warszawa już... Kapitulowali wszyscy. Oczywiście teoretyczny rozkaz był „idziemy do niewoli”, ale kto poszedł, to poszedł. Urywaliliśmy się, jak mogliśmy, i dostajemy się do Warszawy, i od listopada do konspiracji. Zastępca dowódcy 76. Pułku, pułkownik Gaładyk, kazał nam siedzieć w Wilnie... znaczą w Warszawie, a sam jechał na komendanta okręgu wileńskiego, ale w drodze go przechwycili, już tego okręgu nie objął, a potem tam następni byli po... No i... Byłem w Tajnej Armii Polskiej, to była taka organizacja zorganizowana przez majora Włodarkiewicza, to był taki przedwojenny już przygotowywany specjalista od dywersji, że liczyło się z tym, że wszystko może się zdarzyć i w razie czego to... I on pod Mrozami, tutaj pod Warszawą, likwidował swój dywizjon, bo to był artylerzysta... Nie, kawalerzysta był. I rozeszła w teren, kto chce, to zostawał z nim do ostatniej chwili i potem powiedział tak: „Jedźcie do siebie w teren, dostaniecie sygnał, gdzie, czy ktoś do was przyjedzie, ja muszę wiedzieć, gdzie, organizujcie nie masówkę jakąś, ale przede wszystkim kadrę”. I tak się znalazłem w Tajnej Armii Polskiej. Nie w siłach... Nie w Służbie Zwycięstwu Polski, nie w ZWZ-cie, tylko w Tajnej Armii Polskiej, która dopiero w 1941 roku, w międzyczasie major zgrupował koło siebie dziewięć tych mniejszych takich, bo to wszędzie powstawały samorzutnie mniejsze organizacje. Mam tam gdzieś, prawda, jak te organizacje się nazywały i powstała tak zwana Konfederacja Zbrojna. I w 1941 roku na jesieni generał „Grot” przejął, po prostu, przejął dowództwo nad... Bo opory były, to był katolik, bitny, Włodarkiewicz, więc oni mieli takie pewne zastrzeżenia, a zresztą myśmy samodzielni, a było nas więcej w terenie, bo wcześniej myśmy zaczęli działać niż ZWZ. Był zresztą na naszym terenie szereg organizacji: Korpus Obrońców Polski, OW Wilki, narodowcy mieli swoje, prawda, chłopcy swoje, ale w rezultacie najwięcej miał Korpus Obrońców Polski, taka organizacja, bo to były: miasto Węgrów, gimnazjum i uczniowie gimnazjum chwycili pierwsi ten kontakt, to siłą rzeczy w teren też jakoś, ale nasza organizacja była piękna. Myśmy się kochali w tej swojej organizacji i nam się każą podporządkowywać, ale pułkownik Rowecki załatwił prosto, przejął dowództwo. A jak przejął dowództwo, to jak my już jesteśmy wszyscy u niego, to on powiedział: „A teraz terenowo to się wszyscy dogadujecie”. No i komendantem został kapitan wtedy, późniejszy major Maciejowski, [z KOP-u, zastępcą z OW Wilki, porucznik Rażmowski. Ja objąłem... Przedtem byłem na tym terenie komendantem tego naszego TAP-u, Tajnej

Armii Polskiej, zostałem komendantem jednego z ośrodków, cztery ośrodki w obozie, a na jesieni już 1942 roku byłem nietypowym dla układu takiego AK-owskiego, tam był jedynkarz, sztab był jeden organizacyjny, a ten organizacyjny tylko niby papierkowe sprawy. Ja zostałem adiutantem obwodu, to znaczy, że owszem, te papierki też, ale wszystko, co... Miałem rower i miałem tam 27 lat, do dyspozycji w terenie dowódcy. No i...

Michał Kurkiewicz: A to było... Gdzie to było dokładnie, w Węgrowie już?

Jerzy Waław Lipka: W Węgrowie, powiat Węgrów, bo TAP to była część powiatu węgrowskiego, a część miejskiego, tak wyszło organizacyjnie, a potem się trzeba było dostosować i ja prosiłem o przydział do Węgrowa, i już w tym Węgrowie zostałem do końca i byłem. Potem w 1943 roku powstał Kedyw, to ja się zbuntowałem, że przepraszam, ale ja dosyć mam tylko papierkowej i administracyjnej, i w ogóle organizacyjnej sprawy, i zostałem dowódcą Kedywu. Tam miałem parę akcji, już w których bezpośrednio dowodziłem. Między innymi Virtuti Militari niespodziewanie tak dostałem. Odbiliśmy tam więźniów, bo tam rozbiliśmy taką ekspedycję niemiecką, którą myśmy zresztą wyciągnęli sami w teren celowo. Rozkaz był w listopadzie, 22. i 23., i noc, w tym czasie ma być jakaś akcja przeciw Niemcom, a u nas dwa powiaty, Sokołów i Węgrów, i był taki pluton na cztery kilometry od granic Węgrowa, na skraju Sokołowa, specjalny pluton taki tam żandarmerii czy inaczej się nazywali, na te dwa powiaty, które tam miały nas trzymać twardo. No i... A my nie mamy u siebie, a to jest z Sokołowa, to już nie naszego komendanta. Zaproponowałem, że jeden patrol zadzwoni ze wsi, że tu mamy bandytów i aresztowaliśmy, i zdaje się, że chcą ich odbijać, więc potem dzwonią, a oczywiście zadzwonili z poczty, którą natychmiast po tym telefonie zdemontowali, prawda, uszkodzili i pomocy żądają. I tak liczyliśmy, że jednak pojadą im na pomoc. Pojechali na drugi patrol, 20 osób, my ich tam w lasu trochę dopadli. Mniejsze czy większe, ale w każdym bądź razie rozbiliśmy tę ekspedycję, a jednocześnie zastępca dowódcy Węgrowa był dowódcą takiego plutonu 50-osobowego, który krążył po terenie, zresztą to bardzo nieudana sprawa, bo uruchomili to na jesieni, gdzie liści nie ma na drzewach, na krzewach, poza tym błoto, zimno już, ale w październiku uruchomili i obsługa radiostacji. Myśmy sami prosili, że my, przyślijcie do nas, jak one wpadają w miastach, to przyślijcie do nas, my mamy specjalistów, okazuje się, wyszkolonych w Polsce na tych radiostacjach skromnych, które były, tylko potrzebne były kwarcy. Niech przyjedzie ktoś z tymi kwarcami, specjalista, zobaczy, jak nasi pracują i potem skorzystali z tego. Myśmy parę razy... Ta radiostacja na naszym terenie grała, z zastrzeżeniem: Doba, nie wolno grać więcej. Jak nie było światła gdzieś, to znów trzeba było w bezpieczne miejsce. To na zmianę na rowerze napędzali, ale dobie. Nie wolno dłużej, chyba że jakaś końcóweczka do dogrania, a takie zapasowe kilkanaście kilometrów, tego, następna tam jest zmobilizowana drużyna, alarmowo przygotowani, że mogą do nich przyjść, to przerzut w nocy, dzień odpoczynku i znowu noc. Przede wszystkim grać, starać się nagrać, tego. A nas łapali, wie pani, z trzech stron jechały radiostacje, ich stacje takie i nas brali w trójkąt, w trójkąt, w trójkąt. Ale u nas ani jednej wpadki nie było jakoś, ale ten pluton wymyślili, że stały pluton, który będzie jeździł, przenosił i ta radiostacja będzie grała i jego zaczęli dopadać już Niemcy. I akurat w nocy z 22. na 23. on pod Kąkicami w garwolińskim miał bitwę, dopadli go tam, ale wygrał tę bitwę, ocalał oddział i już potem wrócił na teren, ale akurat te dwie akcje wyszły w tym czasie, kiedy była potrzebna akcja w terenie i okazało się, że w okręgu wschodnim, w innych obwodach mieli trudności z wywołaniem takiej akcji i stąd się wzięło, że ten dowódca tamtego oddziału, „Poraj”, i ja dostaliśmy ni z tego, ni z owego Virtuti Militari.

Michał Kurkiewicz: Serdecznie...

Jerzy Waław Lipka: A za co? Sami nie wiemy, za co, bo dla nas to było normalne, coś trzeba zrobić, a ludzie się rwali, ludzie się rwali, tylko ludziom było dać kawałek broni do ręki.

Michał Kurkiewicz: Serdecznie gratulujemy Virtuti.

Jerzy Waław Lipka: Akurat taki zbieg okoliczności, na tydzień przed akcją na tych Niemców w listopadzie, aresztowali nam dwóch ludzi. I dostałem zgodę na... Siedzieli w Sokołowie Podlaskim w sąsiednim powiecie, w więzieniu. Dostałem zgodę komendanta: „Zrób coś, jak możesz”. Pojechałem do tego... Zresztą tutaj, przykładowo, jednak jak działalność w Polskim Państwie Podziemnym, a w naszym przypadku u nas, wsiałem na rower, przyjechałem do punktu, gdzie były łączniczki, wsiałda ze mną na rower, przyjechaliśmy do Sokołowa. Po 20 minutach ja widzę komendanta obwodu sokołowskiego ukrytego, nikt nie wie, gdzie co jak, tylko wiedzą określone osoby. Ta dziewczyna nasza przyjechała, tamta pojechała, pytam się, czy mogę. „Wykluczone. Tylko uderzenie na więzienie jest wykluczone”. To jest przewidziane w przypadkach, na przykład przyjechał komendant okręgu na inspekcję i wpadł czy coś, ktoś naprawdę tego, ale, no, to obcy teren, bez jego zgody. Wracam, melduję, że nic z tego i następnego dnia dowiaduję się, że szwagier jednego z tych aresztowanych widział się z nim w Sokołowie. W jaki sposób? A oni tam mają kuchnię poza murami więzienia, kuchnię, gdzie chodzą z kotłami, prawda, ale z kotłami to chodzą tacy aresztowani za... Nie dostarczyli zboża, nie dostarczyli jakiegoś tam świniaka, coś. Tacy, którzy tam... Dwa tygodnie dostał, miesiąc dostał, oni wychodzą za chwilę, no to jak pójdą z tym kotłem, to przecież nie będą uciekać, bo im się nie opłaci. To akurat siedział w obozie, to był wysiedlony z poznańskiego i siedział w jakimś przejściowym obozie z facetem, który w tej chwili jest takim strażnikiem więziennym. Jako że z poznańskiego, po niemiecku mówił, to go tam... Migał się, żeby nie iść do wojska, to go... No i co? To on wyprowadził tego jego szwagra przy tym kotle. „Niemożliwe. A wyprowadzi jeszcze raz?”. „No, myślę, że tak”. To my teczka, do teczki parę butelek wódki i jakieś wędliny, jakieś pieniądze od skarbnika obwodu, jedziemy do tego Sokołowa i on wyprowadził, wyprowadził tych dwóch naszych, ja się z nimi widzę. Jak tu zrobić, żeby on ich jeszcze raz wyprowadził? Ale ugadaliśmy go, że staruszka, matka, że to, że tamto, już po raz ostatni, a jak złapali z bronią, to już wiadomo, że... Poszliśmy w siedmiu. Jeden z przyjaciół go nie poznał. I akcji nie ma na tego, bo nie ma, Romana nie było. „Jak to nie było?”. A ten [niezrozumiałe, 00:34:49] ubierał, przebierał ich. W kożuch tego aresztowanego, przebierał tego naszego politycznego, to jeszcze raz go musiałem ugadać, żeby jeszcze raz po południu tych wyprowadził, a to listopad, robi się ciemno, Ciemno się robi i nie widać, kogo prowadzą. Ja mam dwa takie te kołty w kieszeniach, różnie z tą bronią bywało czy z amunicją, że nawalała czasem, nie działała, a tu te to już działały bezspornie, bo to bębenek i... No i liczę, że ten strażnik, których ich wyprowadza, ten szef jest, a on nie jest, zupełnie inny i mnie karabin do brzucha. Ale ci, ta obsługa, to już wiedzieli, że dostaną tam wódki, dostaną jakieś tego, to jakoś mnie tam ze sobą zabrali, a patrol został na zewnątrz. I tak się zastanawiam, pokój taki ze dwa razy... Ta kuchnia ze dwa razy większa niż ten pokój. I tak, sytuacja, wezmę ten... Dam temu Romanowi ten jeden z pistoletów, ale tak, trzech tych strażników, pięć kobiet, pięciu tych do obsługi tych, bo dwa kołty i jeden taki tam kanister na herbatę. Awanturę rozpoczynać? No, co ci ludzie wszyscy winni? Diabli wiedzą, co tu się może dziać. No, żeby mnie wypuścili, mnie wypuścili. Ja wychodzę, a tu pchają się, to ja ich z powrotem na zewnątrz i jak wyszli, tośmy zabrali tych dwóch swoich, no... Żadnych cudów, żadnych tych. W Warszawie to ocenili, że no, jednak... I stąd

to Virtuti, proszę państwa. Naprawdę, proste rzeczy były dla nas wtedy.

Michał Kurkiewicz: A nie wie pan, co się stało z tym poznaniakiem później? Ukarali go jakoś?

Jerzy Waław Lipka: Sam. Poderżnął sobie gardło sam. Proszę pana, następnego dnia przywieźli... Jednak później myśmy to rozeznali, Sokołowiacy rozeznali, dziesięciu, ale to rzeczywiście jakichś kryminalistów, bandytów, bo to w więzieniu mieli różne kategorie i dziesięciu ludzi rozstrzelali. I taka starsza pani, matka rodziny, która... Dzieci były, komendantka była WSK obwodowa, córka, a syn szóstkarzem, to prawnik, nie służył w wojsku, prasę się zajmował, a matka była podstawową skrzynką. Ona do swojej kieszeni do fartucha chowała meldunki, przywozili do niej, już się później przyzwyczaili, ona wszystko przyjmowała. I ona przedtem rozpaczła, że Romana aresztowali, a ten Roman to znowu był, tak, student, biedna rodzina i jednak skończył gimnazjum i był stypendystą miasta na politechnice. Jedyne dziecko i jedyna ta stara kobieta. Więc ta mama Walczynowa mówi: „Boże, Roman”, to tego... To ja przyjeżdżam, mówię: „No, już Roman jest w domu”, tam po paru dniach, a ona mówi: „No, tak, ale dziesięciu ludzi...”, ja mówię: „To albo jakoś musimy działać, albo nie, na to już nic się nie poradzi”. I muszę państwu.. Ale to nie do jakiegoś tam filmowania czy coś. Cztery ośrodki były i ośrodek korytnicki, właśnie skąd ten Roman pochodził, koniecznie, że odprawa taka obwodowa musi być u nich. Dlaczego koniecznie musi być? No, musi być koniecznie i proszę, no, dobra. I jest ta odprawa, ja tam wszystko szykuję do tej odprawy tam od tej strony troszkę papierkowej, wszyscy są czyści, ja niestety pewne dokumenciki muszę mieć. Muszę mieć w związku z tymi broń, liczę się z tym, że w każdej okazji musi być na wszelki wypadek. No i... Po odprawie obiad. Oczywiście to we wsi Roguszyn, proszę nas na ten obiad, to ja tam wszystkich [nierozumiałe, 00:40:51] i idę ostatni. Idę, siedzi jakaś staruszka na taborecie, to: „Dzień dobry”, przechodzę, a ona mnie za rękę i całuje mnie w rękę. To ja klękam czym prędzej, co jest? Matka Romana, ona musiała mnie w życiu zobaczyć. Bo to już przywiązywali, że zorganizowałem tę akcję i przeprowadziłem. Takie rzeczy. I potem w tym Roguszyń jak mnie pierwszy raz aresztowali już „oswobodziciele”, prawda, w sierpniu 1944 roku i w pewnym momencie wożą nas tam troszkę i przywożą nas i delegata, nawiasem mówiąc, rządu na nasz powiat, starostę przyszłego, przywożą do tego Roguszyna. I siedzimy pod tym bagnietem, ale słońce jest, ładny dzień, strażnik taki przy nas, obiad. Nagle półmisek kobiety niosą. Półmich jedzenia. Poznali mnie, dowiedzieli się, że ja jestem, to one nas... Nas jest dwóch, a siedzi w komórcie komendant z Mokobód z policji, ale nasz człowiek, współpracujący z nami, ale on siedzi już pod skoblem. Ja mówię, podzieliłem na trzy, a my z tym profesorem Szczygielskim, porucznikiem zresztą Armii Krajowej, te swoje już [nierozumiałe, 00:42:53], trzeciemu tamtemu też, bo on tam dostanie kawy i chleba czy czegoś, więc takie są... Takie przygody, nie wiadomo, skąd się biorą, ale człowiek to pamięta. Śmiesznie to wygląda, ale całe rodziny, całe wsie to były. Formalnie nie byli, przysięg nie składali, ale byli, byli z nami, wszystkie drzwi dla nas były otwarte. Ja miałem taką kwaterę pod Węgrowem, dwie kobiety, męża i brata, znaczy ojca i syna, już w 1940 roku to byli narodowcy, endecy przedwojenni, więc ich już tam ktoś sypnął i aresztowali te kobiety. Jak przyszła komendantka WSK, że potrzebuje kwatery, miałem jak w rodzinie. Jak wróciłem z Rosji, to pierwsze moje kroki były właściwie do Węgrowa, nie przyjechałem do Warszawy jeszcze do ojca, jak już byłem w Węgrowie, byłem tam u siebie na kwaterze. Takie były czasy.